Świat powieściowy.

Nr. 123 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

CZĘŚĆ DRUGA.

Trzy lata upłynęło od wyjazdu Arnolda ze Lwowa, trzy lata nieoznaczone niczem w życiu jego. Lata te przeszły mu wśród pracy mozolnej, graniczącej prawie z niedostatkiem. Sumienie młodzieńca nie pozwalało używać wygodniejszego życia, czerpanego z funduszu ofiarowanego mu przez Lolę. Posługiwał się nim tylko w najniezbędniejszych potrzebach. Nie czuł zresztą nawet potrzeby życia wygód i dostatków. Od dziecka wzwyczajony do walki z losem ciężkim, nie czuł zupełnie tego braku, który życie powleka smutkiem i znękaniem.

Młodość — o! mój Boże! — jakież skarby posi da młode życie — młode serce!... Młodość, to nadzieja, wiara i miłość! To też Arnold wierzył w kwiecistą przyszłość, nie raz w braku obiadu karmił się złotemi nadziejami, i kochał zawód, któremu oddał się z całem zamiłowaniem i przejęciem ważnością obowiązków. Lolę kochał cicho, spokojnie, a jednak tkliwie i serdecznie. Myślał o niej codzień, co godzina, myślał o niej wśród pracy i rozrywki, na przechadzce samotnej i wśród towarzystwa kolegów, budził się z uśmiechem zadowolenia, gdy noc przyniosła mu sen o niej, przypominał sobie ciągle jej smutną, łzawą przeszłość, jej sieroctwo i opuszczenie i powtarzał:

— Ona musi być szczęśliwą!

Chwili nawet nie zastanawiał się nad tem, czy młodemu sercu jego wystarczy uczucie czyste, spokojne, braterskie, które czuł dla niej. Kobiet nie znał prawie, nie natrafił nigdy na taką, którejby spojrzenie zamąciło myśl, zatarło choć na chwilę wspomnienie bladej twarzy narzeczonej. Raz na rok jeździł zawsze do nadpełtwiańskiej stolicy, a parę tygodni spędzonych w towarzystwie Loli, były dlań odetchnieniem po pracy wśród wygód wszelakich. Lola była dla niego wszystkiem — matką — siostrą — narzeczoną; przyszłości swej nie wyobrażał sobie inaczej jak przy niej i z nią, ale nie biło mu do niej niecierpliwie serce, krew mózgu nie zalewała, pragnienie przyspieszenia chwili posiadania jej nie rozpierała piersi. Po całorocznem niewidzeniu, witał ją tkliwie, serdecznie, jak się wita z ukochaną istotą, o której przywiązaniu jesteśmy pewni, bez uniesień jednak, bez tej bezgranicznej radości, która dowodzi, że życie nasze bez niej było puste, bezbarwne i jałowe. Po kilku tygodniach żegnał ją ze smutkiem, nie przedłużając jednak ani o dzień jeden wyjazdu raz postanowionego.

A Lola? — Lola zmieniła się nie do poznania prawie! Trudno było dziś w niej poznać ową smutną, bez życia, jak cień snującą się po ogrodzie, milczącą dziewicę. Trzy lata, które jej w wieku przybyły, wróciły straconą młodość, a pierś zalaną zwątpieniem i goryczą, obudziły wiarą w szczęście dotąd nieznane. Nigdy nie kochana, teraz dopiero uczuła jak wielkie są skarby miłości i jak to jedno uczucie prawdziwe a głębokie, zdolne nam rozświecić drogę żywota i dodać bodźca do nowego życia.

Lola wypiękniała teraz. Rumieniec zdrowia okrasił lica, modre oczy zapłonęły blaskiem, smutna przeszłość zacierała się powoli w pamięci, sieroctwo choć ciężyło, nie uginało barków biednej dziewczyny ku ziemi, otrząsła się z apatji i mawiała:

— Los okrutnie obszedł się ze mną, zabiera-

jąc wszystkich mi drogich do zimnej mogiły, ale Bóg dobry, nie zostawił mię przecież zupełnie samotnej, zostawił mi jedno poczciwe serce!... — i w tym monologu samej ze sobą rumieniła się jak szesnastoletnie dziewczę, bo stawał jej w myśli obraz wysmukłego, młodego, ładnego chłopca, który składał je u stóp jej miłości pełne....

Lola, którą przed kilku laty nazywano już nie młodą, dziś wszystkich dziwiła swoją przemianą. Wróciła niemal do lat dziewczęcych, których niestety nie zaznała nigdy!

Takim był stosunek dwojga narzeczonych, oddalonych od siebie, gdy Arnold w czwartym już roku bytności swej w Wiedniu, w poranek jednego za słotnych dni listopada, spieszył na zwykłe medyczne wykłady. Dręczył go jakiś niepokój wewnętrzny. Może bał się o Lolę, która w ostatnim liście pisała, że nigdy nie czuła tęsknoty w tym stopniu i która ją przyprawia o dziwny rozstrój nerwowy. Trzeci już tydzień upłynął od tej ostatniej wiadomości, a dziś odebrał od niej tylko zwykły zasiłek pieniężny, bez najmniejszego słóweczka. Dziwnie rozstrojony i zaniepokojony biegł błotnemi ulicami, a śnieg pomięszany z drobnemi kroplami zimnego, jesiennego deszczu, siekł mu twarz nielitościwie. Spieszył więc zły i chmurny, patrząc li tylko pod nogi dla uniknięcia błota, gdy o krok przed sobą spostrzegł jakiś drobny, świecący przedmiot. Schylił się i podniósł śliczny, weneckiej roboty, przerwany łańcuszek, a na nim zawieszone z ametystu serduszko, dzieło roboty prawdziwie mistrzowskiej. Arnold otarłszy z błota to pieścidełko i schowawszy do pugilaresika, poszedł dalej, zapomniawszy wkrótce o tem zdarzeniu. Na drugi dzień jednak wszedłszy do restauracji, w której zwykle jadał obiad i wziąwszy jeden z dzienników, przeczytał anons następujący:

„Zgubiłam moje serduszko, śliczne, kochane serduszko z ametystu... Całą noc płakałam!... Kto je znalazł, proszę o oddanie. Mieszkam przy ulicy Margaretty —- nazywam się Paula.“

Arnold przypomniał sobie wczoraj znaleziony przedmiot i uśmiechnął się na ten dziwny anons. Na długiej ulicy, pełnej mieszkańców, jakże odnaleźć osobę, która za cały adres podała swoje imię? Nieco jednak niżej znalazł dobitniejsze określenie zguby:

„Dnia 23. listopada, w przechodzie ulicą Arcyksięcia Reinera, zgubiono małe serduszko, wyrobione z ametystu, z kawałkiem łańcuszka złotego roboty weneckiej. Osobie, która je zgubiła, wiele zależy na odszukaniu tego przedmiotu. Jest to droga pamiątka, realnej zresztą wartości tak wysokiej nie przedstawiająca. Uprasza się usilnie rzetelnego znalazcę o oddanie tej drobnostki właścicielce, mieszkającej na ulicy Margaretty, w domu narożnym pod l. 1. na pierwszem piątrze, gdzie otrzyma wraz z podziękowaniem nie równie wyższe od wartości tego cacka wynagrodzenie, od Pauli Salden.“

Arnold postanowił bezwłocznie odszukać właścicielkę i pozbyć się ciężaru cudzej własności, tego dnia jednak rozliczne zatrudnienia w tem mu przeszkodziły. Na drugi dzień nadszedł długo oczekiwany list od Loli, który go uspokoił pod względem jej zdrowia, ale zaniepokoił dziwną rzewnością, która wiała z każdego słowa. Rozmyślanie nad powodem tegoż sprawiało mu roztargnienie nawet wśród mozolnej pracy naukowej i zapomnieć zupełnie kazało o odniesieniu zguby. Po kilku dniach jednak spotkał się znowu z tym samym anonsem i tym razem już zawstydził się sam przed sobą, z zatrzymania tak długo przedmiotu, o który właścicielka z taką prośbą się upominała. Nie odwlekając już więc ani chwili, pomimo spóźnionej pory, udał się do wskazanego domu. Gdy zapytał o Paulę Salden, wskazano mu jej mieszkanie, a po zadzwonieniu u drzwi wchodowych, ukazała się zgrabna niemeczka, która dowiedziawszy się z czem przychodzi, uśmiechnęła się wdzięcznie i wprowadziła go do przedpokoju, a z tegoż do salonu, gdzie stanął oślepiony sceną, na jaką natrafił.

Wśród dziesięciu może lamp kolorowych, które z ślicznie umeblowanego saloniku, pełnego niezliczonej ilości kwiatów, robiły jakąś grotę zaczarowaną, na stole pokrytym jaskrawą materją, stała w malowniczej zachwycającej pozie cudowna młoda dziewczynka, dziecko prawie. Malutka i szczupła, ubrana w króciutką ponsową, gazową, srebrem nasianą sukienkę, przerzuconą miała przez ramię szarfę błyszczącą. Sukienka mocno wycięta, odsłaniała prześliczne kształty alabastrowej białości i krótkie rękawki pozwalały podziwiać ramiona i rączki tak pieściwe w swem obnażeniu, że dłuższą chwilę musiały na sobie zatrzymać spojrzenie, czyniąc tem krzywdę nóżkom malutkim, dziecięcym, ubranym w złotem naszyte sandałki i jedwabne,

ażurowe, cielistego koloru pończoszki, które sięgając aż poza kolana nie okryte sukienką, zdawały się kształtem swoim kłócić o pierwszeństwo z urokiem całej nieporównanie wdzięcznej postaci.

W tej chwili stała leciutko jak ptaszek na palcach jednej nóżki, drugą zakręcając wysoko jakieś nadpowietrzne koło. Urocze to dziewczątko, na ślicznie utoczonej szyjce nosiło główkę o cudnem alabastrowem czole, pod którem świeciły dwa czarne wulkany; kształtny nosek rozdzielał twarzyczkę krągłą barwy róż i lilji, a usteczka purpurowe zdawały się na to tylko być umieszczone, by schronienie dać mogły ząbkom jak dwa sznurki pereł i bynajmniej zmysłowych wieść na pokuszenie całunków roskosznych. Włosy w długich lokach spadając na odsłoniętą szyjkę i ramiona, jak złote płomyki igrały w koło skroni i czoła, i mimowoli nasuwały pytanie: aniołek to czy szatanik, i gdzie powiedzie, do nieba czy piekła?

Arnold wszedł tak cicho, że dzieweczka nie posłyszała tego i odwrócona od drzwi, stojąc na stole, śmiała się głosem metalowego dzwonka i olbrzymi wieniec prześlicznych kwiatów, kładła na głowę pół siwą mężczyzny wspaniałej i pięknej postawy, ubranego w generalski mundur, który zapatrzony w oblicze małego bóstwa, z uśmiechem szczęścia poddawał się jej swawoli.

Na kilka słów wyrzeczonych przez pokojówkę, dzieweczka zwróciła się nagle i lekkim skokiem stanąwszy na kosztownym, miękkim dywanie, okrywającym cały pokój, rzuciła się niemal w objęcia Arnolda.

— Moje serduszko! — znalazłeś pan — przyniosłeś pan?! — wołała z dziecięcą radością i śmiechem, a porwawszy przedmiot ten z rąk jego, przyciskała do ust koralowych. — Co panu dać za niego? co pan żądasz? o! moje serduszko! moje śliczne! moje kochane! — i trzymając je w rączkach, jakby zapomniała o obecnych, tańczyła po pokoju.

Arnold nie zdołał zdobyć się na odpowiedź. Chciał odejść, ale wraz z śliczną rusałką salon z nim wirował i do drzwi trafić nie mógł. Cała ta scena była dla niego jakby sennem widzeniem. Kobiety znał tylko z ulicy. Ładniejsze lub brzydsze, nie zwracały jego uwagi na siebie. Bliżej znał tylko Lolę, a połączenie się z nią węzłem małżeńskim, uważał jako szlachetny i miły obowiązek, do którego też dążył bez niecierpliwości, lecz wytrwale. Praca i praca od najmłodszych lat, nie pozwalała mu nawet zakosztować owej słodkiej trucizny, którą młodzież wysysa z książek, rozpalających wyobraźnię. Patrzył więc teraz na to zjawisko urocze oczyma pół przymkniętemi, bo blask jego olśniewał nieprzyzwyczajone oczy.

Siwiejący generał podszedł ku niemu i rzekł uprzejmie po niemiecku:

— Panna Salden jest panu nieskończenie wdzięczna, za odnalezienie i oddanie klejnociku, do którego przywiązuje wagę. Czy możemy panu czem służyć?..

— Nie, dziękuję.... ja.... — bąknął zakłopotany młodzieniec, szukając machinalnie klamki, a goniąc spojrzeniem tańczącą w nadpowietrznych piruetach dziewczynę, która nareszcie wśród pląsów stanęła na krześle obok niego i roztworzywszy ramiona z gestem teatralnym, zanuciła jakąś arjetkę wesołą, przykładając rękę do serca.

Arnold przyszedł do opamiętania dopiero na ulicy, wśród chłodu listopadowego wieczora. Dziewczę oczarowało go żarem czarnej źrenicy i bogactwem nieprzeczuwanych nawet wdzięków ciała. Tej nocy Lola nie odwidziła go we śnie, nad ranem majaczył mu się aniołek, owiany srebrnoponsową gazą, który otwierając ramiona wabił go śmiechem metalicznym, a w którego płomiennych oczach śmiały się dwa śliczne czarne djabełki. — Arnold zbudził się w gorączce.

* * *

Paula Salden miała rok ośmnasty i była pierwszą baletniczką stolicy. Szaleli za nią młodzi i starzy, przykuł ją jednak do siebie złotemi kajdanami miljonowy generał Lemański, Polak z urodzenia i nazwiska tylko, dziś jeszcze pomimo lat 56 piękny mężczyzna.

Paula była dzieckiem ludu z okolic wybrzeża Wisły. O ojcu swym nigdy nie słyszała — matkę, ubogą wieśniaczkę, zarabiającą na życie godziwemi mniej lub więcej sposobami, opuściła bez żalu, gdy jej pokazano z jaskrawych gałganków sukienkę, którą przywabił ją wędrujący jakiś akrobata, produkujący się dwojgiem nieszczęśliwych dzieci i trzema psami, nie mniej wycieńczonemi głodem i wykrzywianiem członków.

Paula odbiegła matkę, która pożegnała się z dzieckiem zadowolona zapłatą i spokojna o jej przyszłość, którą sobie świetnie przedstawiała.

Śliczne i sprytne dziecko, stało się wkrótce przez swą piękność i zadziwiającą zręczność, niewyczerpanem źródłem dochodów dla swego pana, zwabiając liczną publiczność swymi występami.

Miała już lat dziesięć, gdy pewien wypadek wytrącił ją z dotychczasowego trybu życia. Tańcząc raz na linie ze starszą od siebie towarzyszką, była świadkiem upadku tejże z znacznej wysokości. Biedna dziewczyna pogruchotała ręce i nogi, czem najmniej troszczył się przedsiębiorca, pozostawiając nieszczęśliwą na łasce Opatrzności, a sam ciągnąc dalej za nowym zyskiem.

To Paulę oburzyło i przeraziło.

Z pierwszego noclegu umknęła, nie zastanowiwszy się ani na chwilę, co pocznie z sobą nadal Dziecko nie znając miejscowości, błąkało się dni kilka, oddalając coraz bardziej od kierunku, w którym ją poszukiwano, a zbliżając się do Warszawy. Włóczęgę tę odbywała, zachodząc do dworów lub chat i prosząc o kawałek chleba. Dziewczynka była dziwnie ładna i zgrabna, wszędzie więc ją przytulano i karmiono. Pogoda jak na to sprzyjała, dziecko więc ani nie czując znużenia, przebiegało pola, jak ptaszek spiewając wesoło.

Pewnego pięknego dnia nad wieczorem, gdy słońce zachodząc czerwonym blaskiem żegnało się z ziemią, Paula nad brzegiem jakiejś rzeczki, spiewając głośno i klaszcząc w rączki, wyprawiała sztuczne, łamane skoki, któremi niedawno jeszcze zachwycała publiczność. Tak była zajęta sama sobą, że ani spostrzegła, ani też usłyszała turkotu karety i później wołających ją głosów, aż obaczyła przy sobie bogato ubranego jegomościa. Widok jego nie przeraził jej zupełnie, owszem, kończąc spiew i taniec ukłoniła mu się z gracją sceniczną i nastawiła różowy fartuszek do przyjęcia daru, co nauczona była czynić w czasie przedstawień akrobatycznych.

Wynikiem tego przedstawienia się było: że w mniej niż w kwadrans śliczne dziewczątko siedziało w bogatej karecie, obok wówczas jeszcze pułkownika Lemańskiego, wdowca od lat kilku i bezdzietnego miljonera.

Paulę cieszyło z początku pańskie otoczenie, do którego nie była przyzwyczajona, wkrótce jednak znudziła się życiem jednostajnem, monotonnem i zapragnęła wrócić do swobodnej przeszłości.

Pułkownika bawiła jej naiwność i zalotność naturalna. Nie mając dzieci, powziął myśl uczynienia ją swoją wychowanką, a wykształciwszy, następnie może adoptowaną córką. Sprowadził więc nauczycieli i otoczył zbytkiem, ale dziewczyna była istnym djablikiem! Uczyć się nie chciała, bogate sukienki krajała nożyczkami, a do poważnych nauczycieli albo się zupełnie nie odzywała, lub też wskakiwała im ze zręcznością małpki na ramiona i spiewała lub śmiała się z ich gniewu i przestrachu. Wszelkie prośby i perswazje pułkownika odnosiły tylko ten skutek, iż dziewczyna albo udawała że mdleje i pozwalała się cucić nieraz długą chwilę, śmiejąc się pocichu z trwogi pułkownika, albo też klękała u nóg jego i błagała, by ją puścił na wolność, bo dusi się w pysznym pałacu.

Dziecko to potrzebowało już widzów i oklasków. Czerwieniła się na wspomnienie odbieranych tryumfów, tęskniła za niemi i nieraz w czasie nieobecności opiekuna zwoływała służbę i wprawiając ich w podziw tańcem i rozmaitemi wyuczonemi sztuczkami, poiła się ich przynajmniej oklaskami i płakała łzami rzewnemi.

Pułkownikowi sprzykrzyły się nareszcie te jej dziwactwa i gdy nie ustawały łzy, podkopujące nawet teraz jej zdrowie. szukając dla niej rozrywek, zaprowadził raz do teatru. Paula mało z loży nie wyskoczyła, gdy na scenie ukazał się balet. Śmiała się i płakała, klaskała w ręce i nie chciała odjeżdżać do domu. Pułkownik może już zadowolony był z tego, że się kapryśnego pozbędzie dziecka, czyniąc więc zadość jej prośbom i zaklęciom, oddał ją do szkoły baletu, obowiązując się łożyć na jej utrzymanie. Dziewczyna zdawało się, że oszaleje z radości. Pułkownika porzuciła, jak się rzuca niepotrzebny już sprzęt jaki, a sama rzuciła się z szałem prawie w wir życia teatralnego. Robiła tak zadziwiające postępy, że w daleko krótszym czasie jak myślano, mogła występować w balecie i czarować publiczność śliczną twarzyczką o czarnych i jak piekło ognistych oczach, cudnie utoczoną dziecięcą figurką, a po nadto wszystko artyzmem nóżek maleńkich, któremi zdawała się nie dotykać desek teatralnych — zawisać w powietrzu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XX.

Nazajutrz o bardzo wczesnej godzinie stary Baptysta dziwnie pomięszany wpadł do gabinetu Armanda. zapowiadając, iż pewna osoba pragnie się z nim widzieć. Adwokat po raz dwudziesty z rzędu, przerzucał papiery dotyczące procesu nieszczęsnego, który podjął się prowadzić.

Na wzrok zdziwiony i pytający młodego człowieka, Baptysta zawahał się zrazu, jak ktoś, któremu tajemnicę powierzono, wreszcie wybuchnął, nie mogąc się dłużej oprzeć niemej prośbie swojego ukochanego panicza.

— To panna hrabianka przybiegła już tak zrana! — szepnął z naciskiem.

— Walentyna!

Z tym okrzykiem, blady jak śmierć, Armand skoczył do drzwiczek ukrytych w ścianie tapetowanej, które na boczne kręcone schodki prowadziły. Postać kobieca, gęstym welonem zasłonięta, weszła szybko. Teraz jednak siły ją opuściły i wpół zemdlona usunęła się na fotel najbliższy.

— Zostaw nas samych — Armand skinął ręką staremu — i czuwaj, żeby nikt się o niczem nie dowiedział.

Skoro drzwi się zamknęły za Baptystą, Armand upadł na kolana przed swoją ubóstwioną, całując namiętnie jej obie rączki, zimne i zdrętwiałe. Serce mu z bolu pękało. Nie śmiał objąć myślą całej prawdy, a jednak wiedział doskonale, dla czego Walentyna blada i drżąca, rzuca mu się sama w ramiona o godzinie tak niestosownej. Zrozumiał, iż hrabia de Trameillan, postawił wszystko na kartę ostatnią i był na tyle nikczemnym, iż użył do swojej obrony tej właśnie, która jedna nie powinna się była niczego dowiedzieć, której czystość anielską winien był uszanować.

Walentyna z nadludzkiem wysileniem stłumiła łkania nerwowe, a zarzucając ramiona na szyję Armandowi i wpatrując się w niego okiem łzawem i gorączką pałającem, szepnęła z wymówką głosem złamanym:

— Dla czegoż nie chciałeś się ze mną widzieć wczoraj wieczór?

— Wiesz zatem, żem był wczoraj w zamku? — Armand zawołał przerażony.

— Wiem wszystko!...

Armand zachwiał się...

— Jakto? Czyż hrabia mógł się odważyć?!...

— Wszystko! wszystko! — Walentyna głucho załkała.

— Ależ to być nie może! — Armand oburącz złapał się za głowę. — Czyżby ci odkrył?...

— Mówię ci, że mnie niczego nieoszczędził!... nic nie utaił!... był bez miłosierdzia!... Moje uczucia najtajniejsze, wspomnienia najświętsze, wstyd dziewiczy, wszystko, wszystko zdeptał nogami!... O! możecie być dumni! Zabiliście mnię do spółki!

Ukryła w dłoniach czoło i twarz rumieńcem wstydu płonące, z ruchem najwyższej rozpaczy, i na nowo wybuchnęła gorzkim płaczem, który na chwilę tylko zdołała powstrzymać.

Armand stał przed nią osłupiały, nie umiejąc jej pocieszyć, nie wiedząc co mówić, co robić na razie.

— Boże mój! Boże wielki! — łkało dalej młode dziewczę, z rękami kurczowo we włosy wplecionemi — byłam nadto szczęśliwą... to długo trwać nie mogło!... I to ty! ty! zadajesz sercu mojemu cios śmiertelny?! Czy cię zły duch opętał? Dla czego podjąłeś się obowiązku, ojca mojego wlec przed kraty sądowe? Dla czego chcesz zostać jego oskarżycielem?... A! ty mnię nigdy nie kochałeś! nigdy!... Dwie miałam w życiu miłości! — krzyknęła głosem serce rozdzierającym — moją matkę i ciebie!... Obie leżą w prochu zwiędłe i skalane! Matka nie była tą świętą, do której modliłam się niemal, wierząc w nią jak w Boga! a tyś mnię poświęcił dla pierwszego lepszego żebraka, włóczęgi! jakbym ci była obcą zupełnie! Co ci się stało? pytam i pytam nie mogąc zrozumieć, nie znajdując odpowiedzi! Jedno tylko jasno widzę, że mnię nie kochasz, żeś mnie nigdy kochać nie mógł!...

Walentyna doszła do takiego paroksyzmu nerwowego, iż zdawało się niepodobieństwem ją uspokoić i zmniejszyć rozpacz dziką.

Armand jednak próbował powiedzieć coś na swoją obronę. Jak tu jednak mówić temu dziecku biednemu i rozpłakanemu, które drży całe od bolu nad siły, że są pewne surowe prawa honoru i obowiązków, wyższe nad miłość samą? Usiadł obok niej, otoczył ramieniem, złożył jej główkę rozpaloną, zwieszającą się bezwładnie niby kwiat podcięty, na własnej piersi i zaczął mówić słodko, cichutko, zupełnie jak matka gdy chorą dziecinę usypia. Czuł instynktowo, iż trzeba najprzód wrócić jedną świętość tej duszy zbolałej, trzeba zrehabilitować w jej umyśle tę matkę ubóstwioną, a którą nie wahał się w swojej infamji hrabia de Trameillan zhańbić i oskarżyć przed córką rodzoną.

Zrozumiał całą doniosłość tego coup d'Etat. Aby siebie obronić, i przyciszyć głos przeszłości, tak go ciężko obarczający, hrabia de Trameillan nie wahał się odkryć wszystko Walentynie. Opowiedział matki miłość występną i jak za to ukarał jej kochanka. Pomijając milczeniem niewinnego, który za niego poszedł na galery, dodał w nawiasie, iż Armand uwziął się proces odnowić i stać się oskarżycielem hrabiego. Znał on cześć głęboką i miłość gorącą, którą Walentyna niosła w ofierze tej matce nieznanej, uderzył zatem w strunę najdrażliwszą, wystawiając jej dobitnie, iż jeżeli proces się rozpocznie, hrabia wyjdzie z niego cało, gdyż mężowi tak srodze pokrzywdzonemu przysługa zawsze prawo, zabić na miejscu złodzieja czci jego,

ale pamięć jej matki będzie na wieki zhańbioną, tajemnica którą on tak wiernie przez lat dwadzieścia w sercu zamknął, stanie się publiczną, skandal będzie głośny na całą Francję! Trzeba więc koniecznie temu przeszkodzić, trzeba ubłagać Armanda i wyrwać mu z rąk dowody, iż hrabina de Trameillan była kobietą upadłą.

Nie dziw, iż usłyszawszy szczegóły tak straszliwe, biedna Walentyna przepędziła noc bezsenną w gorączce, tonąc we łzach, zwątpiwszy o wszystkich i o wszystkiem. Nie wiedziała na razie, czy jej narzeczonemu, równie jak jego ojcu zmysły się pomięszały, czy też wznawia ten proces skandaliczny, aby mieć powód zerwać z nią na zawsze?

Dodnia zatem ubrała się, kazała zaprządz i ze swą wierną pokojówką Agatką, wybrała się do Rennes, błagać o litość Armanda.

— Posłuchaj mnię tylko najdroższa! — Armand tulił ją czule do serca — i pozwól mi przed tobą obronić obie miłości twoje, tak matkę, jak i narzeczonego.

Przez panią d'Arçay, znał doskonale szczegóły zamęścia hrabiny de Trameillan, wiedział, iż ten związek był jednym szeregiem zawodów bolesnych i mąk piekielnych dla ofiary nieszczęśliwej, którą prosto z klasztoru, rzucono na pastwę człowiekowi jak lód zimnemu i jak głaz bezlitośnemu. Opowiedział więc Walentynie szeroko i długo, jakie było życie tej męczennicy!

— Walentyno moja — mówił dalej — ileż razy z własnych ust twoich słyszałem, iż wolałabyś umrzeć raczej, niż połączyć się ślubem dozgonnym z mężem niekochanym. Pomyśl że teraz o twojej biednej matce, o tem dziecku piętnastoletniem, zmuszonem żyć z człowiekiem nieznanym, mrożącym jej krew w żyłach dzikim fanatyzmem i wybuchami gniewu wściekłego, zresztą jak głaz nieczułym, despotą brutalnym, który tak sługi jak i żonę uważał za rzecz niemal, za istoty podrzędne, którym tylko rozkazywać powinien, ale względów najmniejszych mieć dla nich nie potrzebuje. Kobieta z sercem musi kochać raz w życiu. Czuje się najnieszczęśliwszą, jeżeli ma prawy charakter, jaki odznaczał twoją matkę, a nie może pogodzić miłości z obowiązkiem żony i kapłanki nieskalanej ogniska domowego. Przychodzi jednak, przyjść musi chwila złowroga, kiedy serce młode, spragnione wzajemności, a odepchnięte nielitościwie i zdeptane w domu, szuka miłości po za domem. Nie twoją biedną matkę oskarżajmy Walentyno moja, ale tych jej opiekunów niegodziwych, którzy, aby zbyć się tylko ciężaru, rzucili sierotę na pastwę okrutnemu i ponuremu tyranowi, szukajmy przyczyny jej zbłąkania w nikczemności pana Trameillan, który ożeniwszy się dla majątku, traktował żonę jak najgorzej, nie miał dla niej cienia uczucia, był jednem słowem bez litości! Matka twoja była z natury czułą, szczerą i jak ty energiczną, o ile się zdaje. Nie mogła znosić dłużej więzów ohydnych. Wiedziała, iż prawo nie stanie w jej obronie i do zerwania tychże niedopomoże. Chciała więc je zerwać na własną rękę. Gdybyś ty przynajmniej była już wtedy na świecie, byłaby z pewnością wytrwała i niosła dalej krzyż swój, aż na sam szczyt Golgoty! Była jednak samą, samiuteńką, obok znienawidzonego tyrana. Los rzucił na jej drogę bolesną i ciernistą, kwiat pięknego miłości i poświęcenia bez granic. Uległa czarowi dotąd nieznanemu. Chciała uciekać daleko od tyrana z którym prawo nieubłagane ją związało, a serce własne odpychało ze wstrętem. Jej mężem w obec Boga i własnego sumienia, był hrabia de Mortrée; rzuciła mu się więc w ramiona, błagając, aby ją wyrwał jak najprędzej z niewoli, która codzień więcej czuć się jej dawała. Któżby śmiał cisnąć kamieniem, na tę biedną męczennicę? Któżby nie uczuł w sercu żywego współczucia i miłosierdzia nad jej niedolą?!

W miarę jak Armand mówił, Walentyna głowę podnosiła, a łzy osychały na powiekach. Wpatrywała się w narzeczonego okiem płonącem, jakby każde słowo było balsamem na jej rany.

— Dobry jesteś! — ścisnęła go za rękę — starasz się ile w twojej mocy naprawić krzywdę sercu mojemu wyrządzoną.

Po chwili dodała tonem błagalnym:

— Zrób więcej jeszcze!... porzuć myśl o tym procesie nieszczęsnym, ktory ma zgubić ojca mojego!

— Wiesz, iż skazano niewinnego! Na miejscu twojego ojca wycierpiał lat dwadzieścia mąk piekielnych! Czyż nie ma prawa ten człowiek, żądać głośno rehabilitacji?...

— Ah! nie kochasz mnię! — załamała ręce z wybuchem rozpaczy. — Czyżbyś mógł wahać się! czyżbyś mógł kłaść na jednej szali, z jakimś nieznanym ci włóczęgą, który wypadkiem tylko trafił do ciebie, całej mojej przyszłości, szczęścia życia mojego?!

— Widzę, iż pan de Trameillan nie wszystko ci powiedział Walentyno! — odrzucił Armand uroczyście.

Odkrył przed nią ile w tej sprawie ojciec jego zawinił, jak zgubił biedaka przez nieszczęsne zbłąkanie umysłowe i że nie byłby godnym jej miłości, gdyby nie dopomógł nieszczęśliwemu do odzyskania czci, którą wydarł mu ojciec własny Armanda.

— Czyż nie rozumiesz zresztą, iż działam tu właśnie w naszym wspólnym interesie? Torquenié nie przyjmie pieniędzy. Fiksacją jego przez lat dwadzieścia cierpień niesłychanych, była myśl o rehabilitacji, o odzyskaniu na nowo praw człowieka! Jeżeli ja mu odmówię pomocy, uda się do innego adwokata, który nie będzie miał tych co ja skrupułów, tych co ja względów. Wtedy dopiero skandal będzie prawdziwy! Pamięć twojej matki, tak drogą sercu twojemu, obrzucą błotem, wywleką przed kratki sądowe. Jej błąd, tak łatwy do wytłumaczenia, zważywszy wszystko, co ją w przepaść popchnęło, nazwanym będzie upadkiem najpospolitszym kobiety rozpustnej; grób jej znieważą, imię zhańbią na wieki!...

— Przestań!... na Boga! przestań Armandzie!... Moja biedna matka!... moja matka nieszczęśliwa!...

Łzami zalana upadła mu jak martwa w objęcia.

— Dla uniknienia zatem tak straszliwej ostateczności, uznasz sama najdroższa moja, iż potrzeba, aby poświęcił się ten, który tu głównie zawinił...

Walentyna wpatrzyła się zdziwiona i zaniepokojona.

— Co pod tem rozumiesz? — szepnęła.

— Słuchaj tylko uważnie. Hrabia musi Francję opuścić. Noc całą nad tem myślałem i osnułem plan, który według mojego zdania, jest jedynie wykonalnym. Niechże odjeżdża jak najrychlej. W tym czasie wznowimy sprawę Torquenié'go. Rzecz całą zręcznie ukartujemy, żeby jak najmniej było z tego powodu rozgłosu. Wspólniczką hrabiego w owym czasie, musiała być niewątpliwie owa staruszka, jak pies wierna i przywiązana... Genowefa Tinnet; na nią zwalimy większą część winy, mianowicie: otrucie Marietty. Hrabia zatem będzie tylko odpowiadał za morderstwo hrabiego de Mortrée, co łatwo da się wytłumaczyć gniewem zapamiętałym męża zdradzonego i w czci swojej boleśnie dotkniętego. Znajdziemy adwokata, który będzie go bronił na tej podstawie, zostawiwszy w cieniu ile możności matkę twoją. Hrabia zostanie prawdopodobnie uwolniony, a gdyby nawet karę lekką mu wymierzono, za granicą będzie od niej wolny zupełnie. Wytłumacz mu to wszystko Walentyno najdroższa i powiedz mu również, iż może traf szczęśliwy błogosławić, który tę sprawę w moje ręce oddał. Namów go przedewszystkiem, żeby odjeżdżał natychmiast.

Walentyna nic zrazu nie odpowiadała. Czuła się tak złamaną, tak bezsilną po nocy przepłakanej, iż myśli rozpierzchłych pozbierać nie była w stanie.

— Muszę wracać do zamku — szepnęła. — Zostaw mi dzień dzisiejszy do namysłu. Chwilowo jestem do niczego. Oczy mgłą mi zachodzą, w głowie czuję zamęt straszliwy... Ledwo trzymam się na nogach!..

W rzeczy samej zachwiała się powstając z fotelu i Armand musiał podeprzeć ją ramieniem.

— Walentyno! moja Walentyno! nabierz odwagi! Bóg zsyła ciężką próbę na nas, bo też dotąd byliśmy nadto szczęśliwi, życie słało nam się samemi różami miłości, płynęło nam cicho i spokojnie jak strumyk wśród łąk kwiecistych. Piorun strzelił z jasnego nieba, przypominając nam, że w życiu miłość nie może być jedynym motorem, że po za nią i wyżej od niej muszą stać surowe obowiązki honoru. Czy myślisz, iż ja mniej od ciebie przecierpiałem, spodziewając się, iż zaprzesz się oskarżyciela ojca twojego wobec świata? A jednak nie cofnąłem się przed świętą powinnością, aby nie upaść w własnem przekonaniu, aby nie stać się niegodnym twojej czystej miłości. Cokolwiek się stanie najdroższa, bądź silnie przekonaną, iż ja zostanę ci wiernym do grobu i będę zawsze dumny twoją miłością, zawsze gotów nazwać cię żoną!

— Tak! ty mię kochasz!... kochasz prawdziwie! — Walentyna ukryła główkę na jego piersiach. — Powtórz mi to raz jeszcze! oh! powtórz!... Potrzebuję tej pociechy w mojej niedoli!... Przebacz, iż na chwilę w miłość twoją zwątpiłam!... Masz słuszność... los nieubłagany nas rozdziela... byliśmy nadto szczęśliwi! Poznałam ile mnię kochasz, w słowach pełnych miłosierdzia, któremi starasz się matki pamięć osłonić. Spełń twoją powinność Armandzie! — dodała po chwili z ciężkiem westchnieniem. — Liczę na miłość twoją, iż oszczędzisz starcowi nad grobem, cierpień nadto gorzkich, któreby mogły zabić go przed czasem... Znasz jego dumę niesłychaną!...

— Bądź zupełnie spokojną pod tym względem.. Tylko namów hrabiego, żeby wyjechał jak najprędzej! Mógłby wszystko popsuć i uniemożliwić nasze starania jakim szalonym gniewu wybuchem!

Było już dość późno. Armand powierzył Walentynę staremu Baptyście, nakazując raz jeszcze największą ostrożność. Przeprowadził ją zatem małemi schodkami i boczną furtką od ogrodu, aby nie zetknęła się przypadkiem z panią d'Arçay, która już się po domu jak zwykle krzątała. Narzeczeni czule się pożegnali i Armand uważał z wielką wewnętrzną radością, że Walentyna odjeżdża wzmocniona na duchu i znacznie spokojniejsza. Obiecała napisać mu słów kilka, skoro rozmówi się z hr. de Trameillan.

XXI.

Są natury tak szczęśliwie usposobione, iż zdają się grać z życiem w wieczną »ślepą babkę.« Z oczami zasłoniętemi przechodzą obok scen dramatycznych, ani się domyślając ich straszliwej doniosłości i ważności. Ciosy najdotkliwsze, odbijają się niby strzały od pancerza stalowego, od ich biernej odwagi, od spokoju niewzruszonego. Potrzebują w około siebie wesela, uśmiechów i cichego zadowolenia, zasklepiają się w tem szczęściu pozornem, jak żółw w skorubie, odwracając wzrok starannie od wszystkiego, co by im mogło spokój zakłócić.

Taką właśnie była pani d'Arçay. Najoryginalniejszą może cechą tego dramatu dziwacznego, był widok matki dobrej, czułej i tylko dla syna żyjącej, która wegetowała najspokojniej zajęta sprawami codziennemi, najpospolitszemi, podczas gdy sercem jej najukochańszego jedynaka miotały burze gwałtowne, grożące nietylko szczęściu jego, ale i życiu niemal.

Dalej więc rządziła domem całym, jako doskonała gospodyni, zadając sobie pracę podwójną, aby parka gołąbeczków — jak zwykle Armanda i Walentynę nazywała — znalazła po ślubie gniazdko milutkie i cieplutkie, aby im niczego do szczęścia i spokoju nie zabrakło. To było jej troską jedyną, szła prosto przed siebie drogą wytkniętą, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, nie uważając bruzd coraz głębszych na czole syna, które cierpienie nad siły żłobiło. Uśmiechnięta, zadowolona z własnych czynności jak i z reszty świata, przygotowywała się do wielkiej ślubu uroczystości,

która miała być rękojmią całej, najszczęśliwszej przyszłości Armanda.

Wewnętrzna potrzeba szczęścia i spokoju, zahartowywała tę kobietę, na wszystkie losu pociski, które inną na jej miejscu, byłyby złamały i zabiły moralnie. Całemi latami patrzyła na konanie powolne człowieka, który był jej miłością jedyną. W tej długiej męce piekielnej, agonji straszliwej, odwagę jej podtrzymywała nadzieja niewzruszona, głucha na nieodwołalne wyroki lekarzy najbieglejszych, głucha nawet na głos własnego rozsądku i zastanowienia. Powiedziała sobie z góry, że mąż ukochany wyzdrowieć musi i w tę konieczność święcie wierzyła, aż do chwili ostatniej.

Za nic w świecie Armand nie chciał by był zakłócać matce błogiego spokoju. W obec niej robił nadludzkie wysilenia, aby być takim jak był zawsze, aby niczem nie zdradzić trosk i cierpień tajemniczych. Najczęściej jednak bardzo mu to źle się udawało! Na szczęście, iż pani d'Arçay, patrząc na wszystko różowo według swojego zwyczaju chwalebnego, zupełnie inaczej sobie tłumaczyła syna widoczną zadumę i nerwowe rozdraźnienie. O sto mil była od rzeczywistości! Wszystko, i milczenie ponure i zmarszczki na czole, i niepokój, przypisywała niecierpliwości zakochanego, który nie może dość prędko doczekać się chwili roskosznej, kiedy ślub odda mu w ręce skarb najdroższy.

Nazajutrz podczas śniadania drugiego, po owej rannej wizycie Walentyny, Armand siedział więcej niż kiedykolwiek milczący i w myślach ponurych zatopiony, matka zaś z głębi swojego fotelu wygodnego i miękko wyścielonego, rzucała na niego od czasu do czasu oczkiem figlarnie przymrużonem, radośnie uśmiechnięta, nie myśląc bynajmniej przerywać mu marzeń roskosznych.

Przy końcu śniadania Baptysta podał list Armandowi na srebrnej tacy.

Pani d'Arçay dojrzała w przelocie adres skreślony na kopercie ręką Walentyny. Znowu uśmiechnęła się dobrodusznie, a gdy Armand zerwał się z listem w ręku i uciekł do siebie, odprowadziła go wzrokiem czułym, głową potrząsając żartobliwie. Następnie ze spokojem dokończyła śniadania.

Skoro znalazł się za drzwiami, Armand ręką drżącą kopertę rozerwał. Oto co mu pisała Walentyna:

»Rozmówiłam się z ojcem. Nie odjedzie pod żadnym warunkiem! Zapowiedział, iż będzie sam się bronił do ostatka! Niczem nie mogłam odwieść go od postanowienia niezłomnego. Był dla mnie srogim bez litości, więcej niż kiedykolwiek! Mówiąc o mojej biednej matce tyle było w jego słowach goryczy, tyle nienawiści, tak dziko oczy mu pałały, iż się na prawdę przelękłam. I mnię wzrokiem ponurym na wskróś przeszywał z takim gniewem namiętnym, jakbym ja w czemkolwiek w tej sprawie nieszczęsnej zawiniła! Jestem w rozpaczy! Armandzie ratuj mnie, ratuj od hańby pamięć matki mojej! Ten proces jest niemożebny! Zobacz się z Jakóbem, ofiaruj mu połowę mojego posagu, choćby i cały nawet! tylko niech odstąpi od procesu i wyjedzie za granicę. Niech nie kala umarłej! niech Jej z grobu nie wywleka! Odpowiedz! pociesz mnie! Nie możesz pojąć ile cierpię! Niechże przynajmniej nie cierpię przez ciebie, jedyna miłości moja! Oszczędzaj mnię! pomyśl, iż jam tu zupełnie niewinna! żem ja tych wszystkich zbrodni nie popełniła i ulituj się nad wiernie i czule cię kochającą

Walentyną.«

Armandowi serce ścisnęło się bolem śmiertelnym. Czytał i odczytywał pismo Walentyny, nie mogąc uwierzyć, że istotnie te słowa zawiera.

A więc hrabia de Trameillan nie cofnie się przed niczem! Aby siebie osłonić, potępi bez miłosierdzia kobietę więcej słabą niż występną, upadającą w szale rozpaczliwym, wywołanym przez jego własną srogość i nieczułość! Czy postępowanie podobne podyktowało mu podłe tchórzostwo, czy też umysł jego ponury i mściwy, widział w tej sprawie dobrą sposobność wywrzeć raz jeszcze zemstę piekielną nad umarłą i nad jej dziecięciem nieszczęśliwem?!

Zbadawszy dokładnie charakter hrabiego i oceniwszy należycie, Armand zatrzymał się na tej drugiej hipotezie. Hrabia był wprawdzie latoroślą drzewa genealogicznego, które szczytem sięgało niemal wieków zamierzchłych Merowingów, wyglądała ona jednak jakby na prostej chłopskiej dziczce ją zaszczepiono. Suwarow utrzymywał, iż poskrobawszy lekko Moskala i najbardziej cywilizowanego, doskrobie się każdy niedźwiedzia dzikiego, poskrobawszy hrabiego de Trameillan, można było tak samo doskrobać się do jego chłopskiego prototypu. Obok pychy nieznośnej, wielkopańskiego lekceważenia i feudalnago despotyzmu w obec podwładnych, hrabia posiadał chłopskie brutalstwo, mściwość bezgraniczną, podstępność i przebiegłość lisią, wreszcie egoizm, wrodzony chłopu bretońskiemu i brak serca zupełny.

Po wizycie niespodziewanej Armanda, jednym rzutem oka objął fatalną sytuację i natychmiast ułożył plan kampanji, aby działać i bronić się zwycięzko wobec przeciwnika uzbrojonego w dokumenta tak niezbite. Tego jednego w życiu nie mógł przewidzieć, żeby Armand właśnie stanął przed nim jako mściciel i oskarżyciel. Jeżeli kiedy widział przed sobą widmo straszliwe przeszłości, wstrząsające do głębi trwogą nieokreśloną jego sercem i umysłem, to nigdy nie brało na siebie postaci tego chłopca młodego, sentymentalnego, rozpieszczonego, tego marzyciela zakochanego, o którym myślał, iż jedynie romansowaniem z Walentyną jest zajęty.

Podstępność niesłychana hrabiego de Trameillan, która raz już zamanifestowała się dobitnie, zwaleniem zbrodni przez niego popełnionej, na człowieka zupełnie niewinnego, ukazywała się również w wyborze na zięcia, Armanda d'Arçay.

Jak słusznie Armand zauważył, ani majątkiem, ani rodem i stanowiskiem, nie dorównywał Walentynie, nie

można było również przypuścić, iż miłość wzajemna młodych ludzi, wzruszyła serce kamienne hrabiego. Miał on atoli dla prawników owo uczucie, trochę bojaźliwe, a pełne uszanowania, wrodzone również każdemu chłopu bretońskiemu (szczególnie jeżeli mu coś ciąży na sumieniu.) Wyrachował więc, że jeżeli kiedy sprawiedliwość szukałaby z nim zaczepki, zięć adwokat, potrafi go obronić.

Łatwo zrozumieć gniew wściekły hrabiego, gdy widział się w nadziejach zawiedzionym, gdy ten właśnie śmiał mu grozić, dla którego tyle poświęcił, zrzekając się niejako dumnych przesądów i wyobrażeń arystokratycznych na jego korzyść.

A jednak w obec Armanda, potrafił się powstrzymać. Nie chciał drażnić młodego zapaleńca oporem brutalnym, zuchwałym, spróbował cios zadany sparować z szatańską przebiegłością. Rzucił między siebie a niego, biedne dziecko niewinne, skalał obrazem matki upadku jej myśl czystości anielskiej, zabił w jej sercu ideał tej matki nieżyjącej, ale której cień błogosłowiony i błogosławiący jedynaczkę, Walentyna czuła wiecznie snujący się koło siebie, zabił ją na duszy i niemal na ciele, a to wszystko dla tego, aby Armanda skłoniła do odstąpienia procesu.

Było to postępowanie nikczemne, ale w wysokim stopniu zręczne i przebiegłe. Zasłaniał się czcią głęboką, jaką Walentyna miała w sercu dla matki umarłej, zasłaniał się miłością namiętną, którą żywił Armand dla Walentyny.

Nic dziwnego, że gdy młode dziewcze z niczem wróciło, gdy hrabiemu Walentyna oświadczyła, iż Armard ani myśli od procesu odstąpić, tylko żąda aby hrabia wyjechał czemprędzej za granicę, szał wściekły opanował hrabiego i zaledwie zdołał o tyle nad sobą zapanować, żeby w swojem brutalstwie nie znieważyć czynnie biednej Walentyny, która stała przed nim drżąca i blada, istny obraz istoty na śmierć skazanej!

Zaciął się w postanowieniu niezłomnem, jak prawdziwy, uparty Bretończyk i przysiągł uroczyście, że bądź co bądź, z miejsca się nie ruszy. Wierzył jednak święcie, iż Armand cofnie się w końcu, zmiękczony łzami i prośbami narzeczonej, która nie dopuści, aby pamięć jej matki hańbiono i błotem obrzucano.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

III.

Trzy dni upłynęło. Od trzech dni baronowa w straszliwej gorączce nie opuszczała łóżka. Od trzech dni także cała okolica była w ruchu. Strażnicy, żandarmi, wieśniacy, kłusownicy, wszyscy uzbrojeni, przetrząsali las Frettoye, lasy sąsiednie, winnice i liczne gaiki, wznoszące się koło winnic.

Każdy szukał Munita.

Wszyscy wiedzieli teraz co zaszło w zamku, scenę tajemniczą i krwawą w nocy, zjawienie się cygana i nie mniej zniknięcie jego więcej tajemnicze. Ale czego nikt nie wiedział, to to, że ten człowiek wszystko co czynił, czynił z miłości.

Od trzech dni robiono formalną obławę na cygana, jak na dziką zwierzynę, ale wszystko było nadaremne.

Czy opuścił te okolice? Prawdopodobnie.

Jednakże, na kilka mil w koło, żandarmerja była uwiadomiona. Opis jego, dany przez panią de Planche-Mibray z nadzwyczajną dokładnością, posłany był wszystkim oddziałom żandarmerji.

Wiedziano, że Munito był zabójcą pana de Maugeville.

Codziennie służący z zamku powracał z stron innych, a baronowa, która pomimo gorączki zachowała przytomność umysłu, dowiadywała się z rozpaczą, że nic nie odkryto.

Tym, którzy jej mówili; „Ten człowiek opuścił te strony“ baronowa odpowiadała z przekonaniem: „Przeczuwam, że jest niedaleko odemnie.“ Nareszcie czwartego dnia wstała z łóżka i rzekła do pani Villemur:

— Droga przyjaciółko, przysięgłam sobie, że póty nie spocznę, póki mój biedny Manuel nie będzie pomszczony. Wszystko co jest w mocy ludzkiej uczynię, a obaczysz, czy umię dotrzymać przysięgi. Choćby ten człowiek się schował na koniec świata, moja zemsta i tam go dosięgnie!

W chwili, gdy baronowa to mówiła, a przyjaciółka słuchała ją przerażona — bo była straszną w tej chwili — powóz zaprzężony czwórką ślicznych koni, wjeżdżał w aleję zamku de Planche-Mibray.

Stary lokaj przybiegł do baronowej pytając:

— Czy pani baronowa jeszcze nie przyjmuje nikogo?

Pytanie to było całkiem naturalne, bo pani de Planche Mibray, ubóstwiana przez całą okolicę, odwiedzana była od tygodnia przez całe sąsiedztwo, ale będąc w rozpaczy, nie przyjmowała nikogo.

— Jeszcze jedna wizyta?! — szepnęła.

— Tak, pani.

— Któż taki?

— Nie wiem jeszcze, ale zdawało mi się zdaleka, że to kareta makiza de B...

Markiz B... był prawdziwym magnatem paryskim; w letniej porze bawił w Nivernais, w zamku de w Rochepinte o trzy mile od Coulanges.

Był to sportsmann znakomity, strzelec niezrównany, miły w obejściu, nicpoń dwudziesto ośmioletni, który trochę gorszył okolicę swoją rozrzutnością oryginalną i przepychem nadzwyczajnym.

Na polowaniach imponował całej szlachcie bajecznie liczną służbą, dojeżdżaczami w strojach najbardziej oryginalnych i końmi dotąd niewidzianymi. Ale co najbardziej wzbudziło podziw, jeżeli nie zazdrość współobywateli, przyzwyczajonych jeździć ciężkimi powozami i takimiż końmi, to elegancka kareta, którą wjechał

pewnego dnia w podwórzec du Léopard, w Auxerre, kierując z nadzwyczajną swobodą czterma końmi irlandzkimi, jasno bułanymi.

Ta kareta, która wyszła z pracowni p. de Dufour, sławnego fabrykanta powozów, była więcej jak powozem — była prawdziwym domkiem toczącym się. - Siedzenia w niej zmieniały się w razie potrzeby na stoły, i wszystko tam było — cały namiot podróżny — od przyrządów kuchennych aż do naczynia stołowego. Jednakże wszystko to było delikatne i lekkie, i posiadało comfort angielski, połączony z elegancją francuzką.

Nareszcie, ażeby uzupełnić reputację oryginalności, markiz pewnego dnia wpadł na myśl odrestaurowania starego, dziedzicznego zamku, i przeniósł się na ten czas do jednego z swoich folwarków, który umeblował z przepychem niesłychanym, zostawiając dach słomiany i powierzchowność budynku sielankową. Potem dał sławny bal w tem nowem pomieszkaniu, bal, o którym cała okolica mówiła.

Markiz sprosił tylko swoich liwerantów, zacząwszy od ładnej piekarki, aż do białej i rumianej rzeźniczki.

Otóż była to ta sławna kareta markiza B... która szybko wjeżdżała w podwórze zamkowe.

Markiz nigdy nie jeździł z wizytą do nikogo, i nigdy za życia u barona nie był w Planche-Mibray. Co więcej, baronowa wiedziała, że jakieś nieporozumienia były dawniej między starym markizem a ojcem Manuela, i że wskutek tego synowie się nie widywali. Cóż sprowadzało markiza do zamku de Planche Mibray?

Mimo strasznej rozpaczy, w jakiej była baronowa, ciekawość kobieca się odezwała.

— Przyjmiesz! — rzekła do lokaja zdumionego.

Potem poszła do drugiego pokoju, którego okna wychodziły na podwórze zamkowe. Pani Villemur, schylona za nią, widziała także sławną karetę, zajeżdżającą przed ganek.

Mężczyzna jakiś w podróżnem ubraniu wyszedł. Ale nie był to markiz. Był to Leon de Villenave, siostrzeniec pani de Planche-Mibray, którego widzieliśmy w Auxerre przed trzema dniami.

Jakim sposobem przyjeżdżał w powozie markiza? Łatwe do wytłumaczenia.

Będąc w Auxerre — jak wiadomo — Corinna Destremont i p. de Villenave dowiedzieli się o śmierci Manuela.

— Oto co obala wszystkie moje plany! — zawołała Corinna — ale równocześnie ułatwia robotę.

— Jakto? — zapytał p. de Villenave jeszcze odurzony resztkami opium.

— Naturalnie — odrzekła Corinna — miałeś rywala a teraz go niemasz!

— Sądzisz więc, że umarł?

— Z pewnością.

— Ale któż go mógł zamordować?

— Czyś taki naiwny? — zaśmiała się Corinna. — Mordercą nie może być kto inny, tylko cygan.

— Munito?

— Pewnie. Jakże wytłumaczysz inaczej to zamknięcie cię przez cygankę?

— Nędznik! — szepnął p. de Villenave.

— Doskonale! — zawołała śmiejąc się Corinna — zaczniesz się może litować nad losem biednego Maugevillea, który byłby ci za dwa miesiące porwał z przed nosa trzy kroć livrów dochodu!

— To prawda — odpowiedział Leon, który stał się znowu sobą samym.

— Teraz kochany sprzymierzeńcze — mówiła Corinna — przedsięweźmiemy, jeżeli zechcesz, inny plan kampanji.

— Jaki?

— Nieprawdaż, że będzie ci to zupełnie obojętnem, tobie, który jesteś filozofem, znaleźć się razem z moim dawnym kochankiem?

— Cóż mię to obchodzi? — odrzekł Leon obojętnie.

— Wszak znasz markiza B...?

— Naturalnie.

— Więc pojedziemy do niego.

— Jak chcesz — odpowiedział Leon.

Corinna miała najprzód zamiar nocować w Auxerre, ale potem zmieniła to postanowienie. Przez cały dzień nie wychodzili oboje ani na moment z hotelu. Wieczór Corinna zażądała wozu pocztowego, i odjechała z panem de Villenave, nie będąc widzianą przez nikogo w Auxerre.

W czasie tej podróży, na każdej stacji, Leon, który znany był w okolicy, chował się w powozie.

Po północy przybyli do Coulanges, a o drugiej godzinie rano, zajechali do zamku markiza B... Markiz był w łóżku.

Lokaj, który służył u niego od dawnych lat, poszedł go uwiadomić, że pani Corinna przyjechała. Markiz, trochę zdziwiony, wstał, zeszedł na dół, i zastał Corinnę siedzącą w sali jadalnej.

— Jakto! to ty?! — zawołał.

P. de Villenave został wówczas w powozie.

— Mój kochany — odrzekła Corinna — czy jesteś jeszcze zawsze moim przyjacielem?

— Sądzę, że dość się tobą zajmowałem, abyś o tem wątpiła.

— Przychodzę cię prosić o schronienie.

— Mówisz mi to takim tonem, jakgdybyś coś spiskowała.

— Przypuść, że spiskujemy.

— Jakto?

— Ja i jeden z moich przyjaciół.

— A potem?

— Trzeba, żebyś nas tu schował i nikt nas nie widział.

— Oboje?

— Tak, oboje.

— Ale gdzież jest twój przyjaciel?

— Zaraz go przedstawię. To Leon de Villenave.

— Siostrzeniec nieboszczyka barona de Planche-Mibray?

— Ten, właśnie.

Corinna poszła po Leona i przedstawiła go markizowi. Ten rzekł do niego z uśmiechem:

— Co kobieta chce, to podobno Bóg chce. Niegdyś bylibyśmy się strzelali dla tej miłej Corinny, a ona zadecydowała inaczej. Bądźmy przyjaciółmi. — I podał mu rękę.

VIII.

Corinna i p. de Villenave ukrywali się więc od trzech dni u markiza B... Przy śniadaniu Corinna zwierzyła się markizowi.

— Mój kochany Amaury — rzekła — (było to jego imię) muszę ci powiedzieć, że Villenave do szaleństwa kocha się w swej ciotce!

— Słyszałem o tem w Paryżu — odpowiedział markiz.

— I ciotka jego miała wyjść za Maugevill'ea?

— A więc ma szansę...

— Gdzietam... dotąd nie.

— Dlaczego?

— Gdyż ciotka go nienawidzi.

— Dobrze! to rozumiem!

— A ja — rzekła Corinna śmiejąc się — wzięłam sobie za zadanie przemienić tę nienawiść w miłość.

— Jakto?

— Mam do tego powody.

— Byłaś zawsze niepojętą — odrzekł markiz śmiejąc się. — Jesteś jak u siebie, rób co chcesz.

— Nie będziesz się mięszał do nas?

— Zupełnie.

— Czy dasz swego konia Leonowi, gdyby go potrzebował?

— Całą moją stajnię, jeźli mu to zrobi przyjemność.

— Jesteś jedynym markizem! — szepnęła Corinna, całując go bez ceremonji.

Ponieważ nie znano jej w okolicy, jeździła co rana konno z służącym markiza, jeździła do wsi i miasteczek sąsiednich, zbierając szczegóły tyczące się zabójstwa Maugevill'ea.

P. de Villenave nie wychodził z zamku. Jadał nawet w swoim pokoju, aby go służba nie widziała.

Nareszcie jednego dnia w czasie objadu, Corinna powróciła mówiąc:

— Sądzę, że możemy naradzić się teraz.

— Markiz B... był młodym, bez zajęcia, a każda intryga podobała mu się.

— Należyć będziesz do rady — rzekła do niego Corinna.

Tym razem p. de Villenave zeszedł do sali jadalnej. I gdy objad się skończył, odprawiono służbę, a Corinna tak się odezwała:

— Jest rzeczą pewną i niema najmniejszej wątpliwości, że zabójcą Maugeville'a jest cygan Munito.

— Tak, mówią to — rzekł markiz.

— Ten sam Munito, którego szukają wszędzie, a nie mogą znaleźć, śmiał się pokazać pani de Planche-Mibray.

— Ba! — szepnął markiz.

— Dowiedziałam się tego właśnie dzisiaj.

— Od kogo?

— Od dozorcy śluz w Coulanges.

— Ale czego chciał cygan? — zapytał markiz.

— Oto właśnie czego nie wiedzą i czego ja nie wiem. — I opowiedziała scenę nocną w zamku, wystrzał baronowej, polowanie na cygana, krople krwi, uderzenia sztyletem, jednem słowem wszystko, co było przedmiotem rozmów i zajęcia się całej okolicy.

— Wszystko to — odezwał się markiz — nie dowodzi jeszcze, że to cygan zamordował Maugeville'a, gdyż właściwego celu morderstwa dotychczas nie widzę.

— Chciał go okraść zapewne — rzekł p. de Villenave.

Corinna spojrzała z uśmiechem na swego wspólnika.

— Mój kochany — rzekła — możemy mówić z markizem otwarcie: Munito zamordował Maugeville'a, bo kocha się szalenie w pani de Planche-Mibray!

— No! no! — zaśmiał się markiz — to dość oryginalne! Arystokratka kochana przez cygana! Na miejscu baronowej, wiem co bym zrobił.

— O! ty, — zawołała Corinna — pokochałbyś natychmiast cygana! Zna cię każdy z twej ekscentryczności. Ale my, mój kochany, jesteśmy ludźmi zwykłymi, i jeżeli pozwolisz, będziemy mówić rozsądnie.

— A więc mów światłodawczyni — odrzekł markiz tonem drwiącym.

— Jeżeli Munito kocha baronową, to ona w zamian musi go strasznie nienawidzić, tembardziej, że ma także trochę krwi cygańskiej w żyłach...

Markiz spojrzał na Corinnę zdziwiony, a Leon z niechęcią.

— Mój drogi — mówiła Corinna — markiz musi wszystko wiedzieć, aby ci mógł dopomódz.

I chociaż p. de Villenave okazywał nieukontentowanie, opowiedziała markizowi pochodzenie pani de Planche-Mibray.

— Ależ do kata — zawołał, śmiejąc się markiz — taż to cały romans!

— Nieprawdaż?

— O! muszę należeć do tej intrygi.

— Wiedziałam zaraz — mówiła dalej ładna grzesznica — że nie opuścisz tej sposobności, tak odpowiadającej twej naturze ekscentrycznej. Teraz mówmy poważnie, choć z dziesięć minut.

— Słucham!

— Mówiliśmy więc, że z pewnością Munito zabił Maugeville'a...

— Tak.

— I że znieważył swoją miłością dumną baronowę...

— Cóż dalej?

— Munito zasługuje więcej jak na śmierć.

— To i moje zdanie.

— A kobieta, w której płynie krew cygańska, musi umieć nienawidzić. Otóż jestem pewna, że przysięgła zemstę straszliwą!

— Cóż z tego? — zapytał p. de Villenave.

— Ależ on naiwnie głupi! — wykrzyknęła Corinna.

A zwracając się do markiza mówiła:

— I on tego nie rozumie, że szukają cygana i nie mogą go odnaleźć; nie odgaduje, że ażeby go widzieć na szubienicy, baronowa oddałaby może połowę majątku!

— Ależ głupcze — mówiła Corinna z oburzeniem — taż to jakby dla ciebie wszystko stało się umyślnie! I rola nawet stosowna.

— Wytłumacz się więc — rzekł Leon, zagryzając usta.

— Ależ to bardzo pojedyncze. Pojedziesz jutro do baronowej i powiesz jej: „Kochana ciotko, zostaję mścicielem! Żebym miał temu poświęcić całe me życie, odnajdę mordercę i będzie ukarany!“ Usłyszawszy to, twoja piękna ciotka, rzuci ci się na szyję — i założę się o co chcesz — odpowie: „Pomścij Manuela, a moja ręka należy do ciebie!“

— A jeżeli nie odnajdę cygana?

— Ależ mamy markiza... dopomożesz nam, nieprawdaż Amaury?

— Z pewnością, liczcie na mnie — odpowiedział markiz śmiejąc się. — I będę się bawił tem doskonale!

— A więc — dodała Corinna — jutro Leon jedzie do Planche-Mibray. I dasz mu swego konia i strzelca?

— Pożyczę mu moją elegancką karetę — odrzekł markiz dumnie.

— A! jeżeli mu pożyczasz tę karetę, to nie wspaniałomyślność, to już rycerskość! Chodź niech cię ucałuję... — I tak wesoło przeszedł wieczór u markiza.

Nazajutrz scena się zmieniła.

— Moje dzieci — mówiła Corinna — to już nie próba. Kortyna podniesiona. Sztuka się zaczyna.

P. de Villenave ubrał się całkiem czarno i przybrał minę stósowną do okoliczności. Markiz uznał za stósowne okryć krepą czarną kapelusze lokai, którzy jechali z panem de Villenave — i kareta odjechała.

Corinna i markiz śmieli się stojąc w oknie wstrząsając chustkami na znak pożegnania.

. . . .

I tak pani de Planche-Mibray widziała wysiadającego z karety nie markiza B..., ale siostrzeńca Leona de Villenave.

Pani Villemur, która miała do niego antypatję nieprzezwyciężoną, chciała powiedzieć swej przyjaciółce: „Na miłość boską nieprzyjmuj tego człowieka!“

Ale baronowa schodziła już po wschodach na przywitanie gościa. I spotkali się w tej wielkiej sieni, zawieszonej zbrojami pamiątkowemi z dawnych lat.

Przywitanie było uroczyste. P. de Villenave nie rzekłszy ani słowa, pocałował baronowę w rękę. Ta wskazując mu wejście, udała się pierwsza do salonu. Potem zamknęła drzwi i zostali sami. Była strasznie bladą. a ogień błyszczał w jej oczach. Jednakże chód jej był pewny, a postawa dumna i pełna rezygnacji. Wskazała krzesło panu de Villenave i usiadła sama, zdając się czekać, aż pierwszy do niej przemówi.

Leon nie usiadł lecz stał przed nią.

— Kochana ciotko — odezwał się. — Byłem w Paryżu, gdy straszna wiadomość o okropnem nieszczęściu, dotykająca zarówno nas oboje, przeraziła mię straszliwie. Manuel był twoim narzeczonym, ale był także moim przyjacielem...

Było to śmiałością wielką z jego strony mówić w ten sposób, gdyż p. de Maugeville mógł, odjeżdżając z Paryża z baronową, opowiedzieć jej niegodne postępowanie tego, którego sądził swoim przyjacielem, i odkryć jej tę nędzną intrygę, do której piękna Paulina Regis niechciała należeć. Ale p. de Villenave cenił nieboszczyka o tyle, o ile gardził sam sobą, i jeżeli mówił w ten sposób, to dlatego, że był przekonany, iż pan de Maugeville jako szlachcic, nie oskarżył pewnie tego, którego rękę ściskał tak długo.

P. de Villenave miał słuszność. Manuel umarł nie powiedziawszy baronowej, że Leon był nędznikiem.

— Kochana ciotko — mówił tenże dalej z bezczelnością — mój wuj nie lubiał mię, i ty także do pewnego stopnia odziedziczyłaś tę antypatję.

A gdy baronowa chciała mu przerwać, dodał:

— O! nie robię ci wyrzutów, ale chcę się podnieść w twoich oczach. I oddaję ci się całkiem na usługi, chcę pomścić naszego nieszczęśliwego przyjaciela. — A umiał tak się ułożyć, mowa jego wydała się tak szczerą, tak otwartą, a zdawał się tak boleśnie wzruszony — on hipokryta, bez serca i duszy — że pani de Planche-Mibray uwierzyła w tej chwili w szczerość słów jego.

— Panie Leonie — rzekła tonem uroczystym — dziękuję ci i przyjmuję pomoc, którą mi ofiarujesz. Tak, przysięgłam sobie pomścić Manuela i nie odpocząć ani w dzień, ani w nocy, dopóki jego morderca nie odkupi życiem swą zbrodnię! Chcesz się przyłączyć do mojej zemsty, przyjmuję cię.

P. de Villenave ukląkł przed baronową, szepnąwszy tylko: — Dziękuję!

Baronowa otworzyła wtedy biurko, które stało w rogu salonu i wyjęła z szuflady jakiś papier zapieczętowany, pokazując go siostrzeńcowi.

Na kopercie wypisane były te słowa jej własną ręką: „To jest mój testament.“

A gdy tenże patrzył na nią z niepokojem, dodała:

— Panie Villenave, w dniu, w którym Munito odpokutuje za swą zbrodnię na rusztowaniu, umrę dla świata, a mury klasztorne oddzielą mię na zawsze od niego. W dniu tym majątek, który odziedziczyłam, powróci do jego właściwych spadkobierców. Testament ten, który widzisz, mianuje siostrzeńca mego męża spadkobiercą uniwersalnym.

— Droga ciotko! — zawołał Villenave wzruszony.

— Nie dziękuj — odrzekła — jest to obowiązek, który spełnię, nic więcej!...

. . . .

Tego wieczora Corinna mówiła do Leona ze śmiechem:

— Jakiż ty niemądry! Co ci zależy na poślubieniu twej ciotki, w chwili gdy majątek ci wraca.

— Ale... jednak... — szeptał.

— Szczególniej — dokończyła — gdy będzie ci tak łatwo zostać moim mężem!... — i obrzuciła go wzrokiem największej pogardy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.